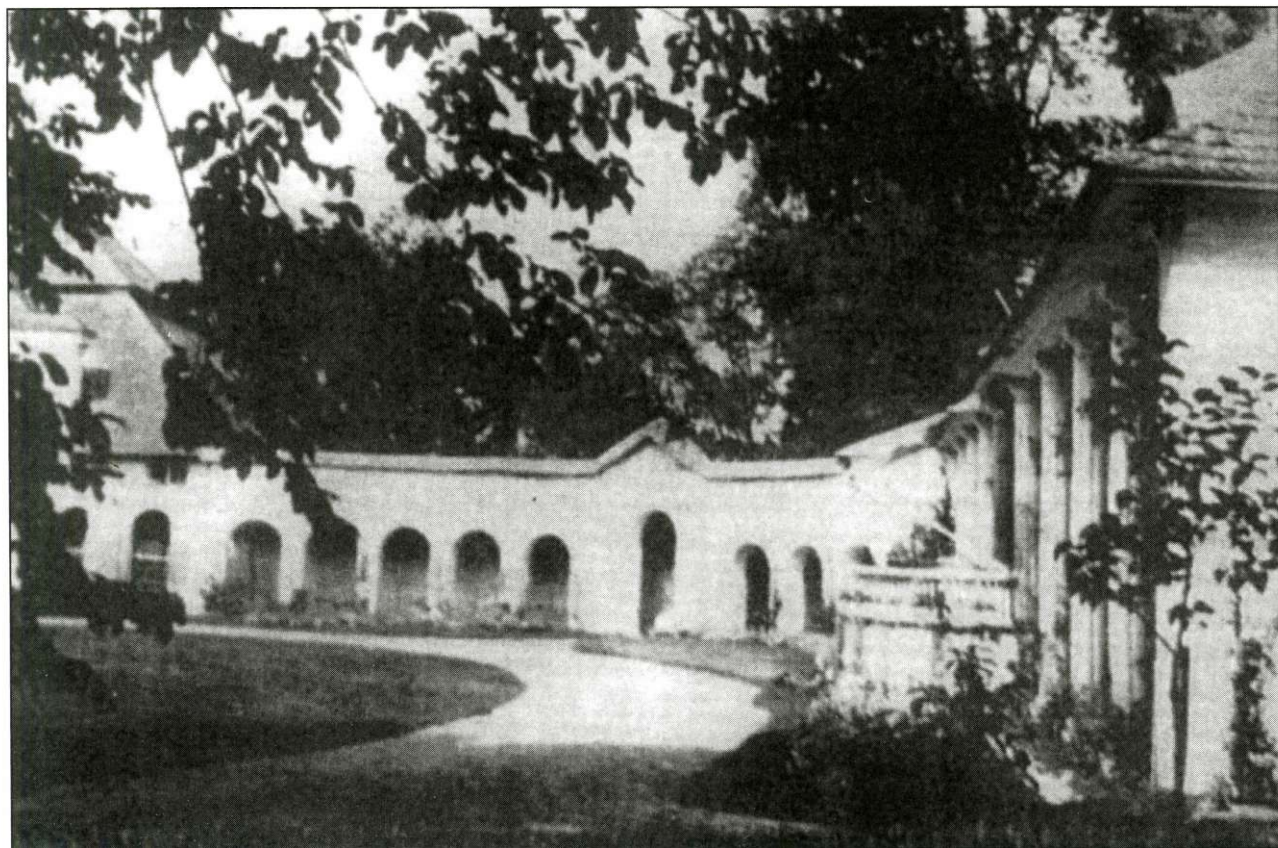


Teresa z Fudakowskich Rostworowska

MOJA MŁODOŚĆ SPĘDZONA NA LUBELSZCZYŹNIE

Po roku 1900 weszły suknie balowe z trenami, modę lansował Paryż, to było bardzo ładne w sylwetce, ale bardzo krepujące w tańcu. W ogóle spódnice kostiumowe długie do kostek były tym uciążliwe, że na ulicy trzeba je było lewą ręką zgrabnie podnosić, bo latem toczyły tumany kurzu, a w deszcz walały się błotem. Zimą używano mufek, lub, jak w Warszawie nazywano „zarekawków” do ogrzewania rąk - torebki nie były w użyciu. Z latami wielkość mufki urosła do rozmiarów dobrego jaśka, a wewnątrz w podszewce znajdowała się kieszonka na chusteczkę i portmonetkę. Szminki, lipstiki i pudry jeszcze nie panowały, to wykwitło po wojnie 1914 roku. Ogon do sukni balowej podszyty był szeroką sztywną falbaną z koronki, ta nazywała się *balayeuse*. Oczywiście żadna z pań nie pokazała się na balu bez długich wyżej łokcia rękawiczek z cienkiej skórki glansowanej i bez wachlarza, nieraz bardzo cennego, z koronki, szyldkretu lub perłowej masy; panowie nie śmieli prosić do tańca bez rękawiczek.

Po Bożym Narodzeniu rozpoczynało się wiele bali w Lublinie. Myśmy w 1895 roku pierwszy raz tam wystąpiły, gdy po zamieszkaniu w Uhrze poznałyśmy ogół ziemiaństwa, a nam przypatrywano się jako nowo przybyłym. Ponieważ obie dobrze tańczyłyśmy, nigdy nie siałyśmy pietruszki, przy tym moja siostra, choć nieładna, ale inteligentna od razu uzyskała opinię *d'une bonne causeuse*, co wówczas u poważniejszej młodzieży było cenione. Dla nas panien w ogóle właściwa młodzież zaczynała się od mniej więcej 28 lat, studenci byli przez nas uważani raczej tylko za danseurów, a nie za epuzerów. Przed wyjazdem do Lublina na wielu balach słyszałam, jak mi mówiono: „Jaka pani jest podobna do panny Adzi Wołowskiej” (córki znanego adwokata lubelskiego), ona znów słyszała: „Jest tu w Chełmskiem panna Fudakowska, dziwnie do pani podobna”. Więc jak później z rozmowy wyszło, bardzo byłyśmy sobie ciekawe, ale ujrawszy się na sali, niemało byłyśmy zdziwione, bo Adzia wysoka brunetka, ja zaś średniego wzrostu jasna szatynka.



Krasnobród w Zamojskiem kolumnada dworu i arkad



Zaręczyny Kazia Rostworowskiego (1874-1927) z Teresą Fudakowską, Jaszczów. W pierwszym rzędzie od lewej: Zofia z Rostworowskich Wessłowa (1867-1929), narzeczeni, Jerzy Fudakowski. W drugim rzędzie: Wojciech Rostworowski (1877-1952), z Rostworowskich Wierusz-Kowalska, Józef Wierusz-Kowalski, Andzia Fudakowska, Rita Tovar Rostworowska, Jadwiga Fudakowska-Kowerska. W trzecim rzędzie: p. Szumowski, Mma Rostworowska córka Antoniego, Bronisław Fudakowski, Jan Rostworowski, Michał Rostworowski (1864-1940)

Jednak coś być musiało w rysunku, oprawie oczu i owalu twarzy, bo zauważyłam potem kilka razy, że na ulicy kłania mi się ktoś, którego nie znam, bo wziął mnie za Adzie. A już później na wieczorach w innej okolicy, gdzie Adzia nie bywała, asystował mi, zresztą sympatyczny, młody człowiek, który się beznadziejnie w Adzi kochał, a ja wiedziałam, że robi to dla mojego do niej podobieństwa. Bale w Lublinie odbywały się w sali balowej bardzo porządnej, mieszczącej się w gmachu teatru miejscowego. Zawsze była w środku nocy zasiadana kolacja przy stołach ustawianych w westybulu teatru. Oczywiście była to okazja, by zainteresowane sobą osoby z góry sobie miejsca rezerwowały lub też łączyły zasiadanie zgranymi grupami. Jak to bywa zwykle w prowincjonalnym mieście, jakim był Lublin, tzw. „miasto”, tj. adwokaci, lekarze itp., szczególnie ich żony i córki, tworzyły osobne koło - zaś wieś, czyli ziemiaństwo, trzymało się ze sobą. Rzadkie były wyjątki, do takich panien nie z ziemiaństwa należały Adzia i Manika Wołowskie i córki znanego z dowcipu doktora Dolińskiego Róża i Zosia, przemiłe osóbkę, ładne o ślicznych, smukłych figu-

rach, inteligentne i dobre. Przyjaźniłyśmy się z Adzia i Manika, i wkrótce należały do naszej grupy. Między balami spotykano się na obiedzie w restauracjach hotelowych, po południu w kawiarniach lub na spacerze w bardzo ładnym parku miejskim, zwanym Ogrodem Saskim, o stuletnim zadrzewieniu i bardzo ładnym pagórkowatym położeniu. Wówczas mieszkali w Lublinie wujostwo Kunicy po niefortunnej sprzedaży Majdanu Stuleńskiego. Ciocia była jeszcze trzydziestokilkuletnią osobą, więc bywała na balach, a zwykle u niej mieszkaliśmy. U wujostwa przebywała staruszka, ciocia Antosia, która szyla miniaturowe jedwabne saszeciki, a w nich suszone liście lubczyku; przed balem pilnowała byśmy kładły każda jeden pod koszulkę przy sercu, drugi w pantofelek, mówiąc: „na sercu, żebyś się podobała, w pantofelku, byś nie upadła w tańcu”. Świetnie się od razu na tym naszym pierwszym występie bawiłyśmy.

Bale te były zwykle na jakiś cel, a zakończone piknikiem, który młodzież dla nas urządzała. Moja siostra i ja wszędzie miałyśmy stałych dwóch danserów, tj. mego brata Bronia i jego przyjaciela oraz Stefana



Kazimierz (Ziunio) Fudakowski (1879-1965) - poseł w latach 1935-1939 senator RP

Dmochowskiego, który na sezon bali, czy w Świerżach, czy w Lublinie czy gdzie indziej w Lubelskie do Uhra przyjeżdżał. Z nami wszędzie jeździł, nie będąc uważany za starającego się, co nam ułatwiało wzajemny stosunek. Z moją siostrą porozumiałyśmy się, że nigdy nie dopuścimy do tego, by jakiś młody czło-



Teresa z Fudakowsktech Rosiwonmska. matka Tomasza

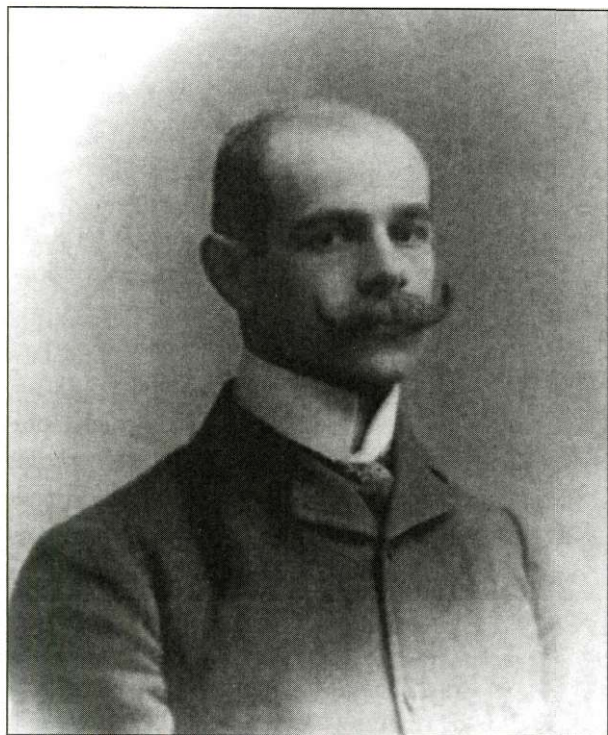
wiek nam asystował w zamiarach matrymonialnych, a w gruncie rzeczy by nie odpowiadał naszym gustom i musiałby dostać kosa.. Uważałyśmy, że to jest nieuczciwie swoim zachowaniem dawać mu nadzieję, a potem odmową deptać jego miłość własną; i taki nasz system był bardzo ceniony.



Anna z Wołowskich Bronisławowa Fudakowska (1876-1935)



Maria z Kicińskich Fudakowska



Karol Rostworowski kompozytor. ojciec Tomasza

Ja tylko natrafiłam raz na kompletne niezrozumienie i musiałam formalnie dać kosza, co mi było bardzo nieprzyjemne. Nasz ojciec nie znosił plotek, wymagał od nas zainteresowania się poważnymi rzeczami, dlatego doradzał nam poważną lekturę i chętnie słuchał naszych opowiadań balowych, ale bardzo krytykował, kiedy któraś z nas powiedziała, że na przykład jakiś nieznany ojcu pan Józio bardzo dobrze tańczy. Pytał wtedy: czy to twój krewny? Nie znam tego pokrewieństwa (...)

Moje pierwsze uczucia i podróż do Ostendy

Po okresie kontraktów życie nasze w Uhrze, dobrze zorganizowane, płynęło cicho, żadnych obowiązków specjalnych nie miałyśmy, wówczas było dużo służby, więc o nic troszczyć się nie potrzebowałyśmy, miałyśmy czas na czytanie. Nasz kochany ojciec życzył



Antoni Rostworowski właściciel majątku Milejów i Kębło, członek Rady Opiekunów "Szkoły Lubelskiej" i przyjaciel drużyny skautowej

sobie, byśmy nie zadawały się powieściami, ale czytały rzeczy historyczne, pamiętniki, szkice o sztuce i architekturze; sam znał się i lubił antyki, meble czy obrazy i miał cały cykl studiów o stylach po francusku. W bibliotece leżała cała teka wypełniona reprodukcjami arcydzieł sztuki włoskiej - pamiątka po pobycie



Uhr, 1906 r. ślub Heleny Fudakowskiej z Konstantym Tarasowiczem, od lewej: Maria i Anna Fudakowskie, Karol i Teresa Rostworowscy. dwaj księża, dwie osoby nierozpoznane, Stanisław Kunicki, Konstanty Tarasowicz (stoi) i Helena - panna młoda, Maria Kunicka i Maria z Siehoniów Włodzimierzowa Tarasowiczowa



Jadwiga (Winia) z Fudakowskich Kowerska w majątku syna Wojciecha w Przylęczku

w Rzymie za czasów kawalerskich. W ogóle biblioteka była dobrze zaopatrzona, a nasz ojciec stale dokupywał poważne książki. Między innymi był egzemplarz wspomnień księcia Sanguszki, dedykowanych mojemu dziadkowi Ignacemu Fudakowskiemu. Tatuś w rozmowach z nami dorosłymi niechętnie mówił o ewentualnych zięciach. „Po co masz za męża wychodzić, zamieszkaj sobie z Kasią, urzędę wam dom w Deputyczach, a będziesz miała wy starczającą rentę, by sobie co roku za granicę wyjeżdżać, a dlatego rentę, bo majątek Uher i Krasnobród będą dla synów, by ziemia w ich rękę została.” Miałam kiedyś dowód, jak bardzo kochany nasz ojciec krył w sobie pamięć o naszej śp. mamusi; kiedyś całuje mnie w głowę i mówi: „Twoje włosy pachną jak włosy twojej matki”. To powiedzenie głęboko mi w serce zapadło. W domu zajmowałyśmy się uczeniem kilkorga dzieci służby - czytania i pisania po polsku, gdyż wówczas nie istniały powszechne szkoły wiejskie, w których by uczono po polsku; trzeba to było robić w ukryciu. Również leczenie chorych było zajęciem mojej siostry i panny Heleny ochmistrzyni, która umiała doskonale stawiać diagnozy, a moja siostra miała powierzone zabiegi chirurgiczne. Był na zawołanie lekarz mieszkający w Chełmie, płatny rocznie przez kasę majątkową, poczciwy doktor Łuczkowski, który nazywał pannę Helenę swoim asystentem. On zapisywał lekarstwa, dawał wskazówki i polecenia, które starannie były stosowane. Pamiętam jak raz przybiegli z czworaków z wiadomością, że się „spaliła sześciolatka” dziewczynka. Moja siostra pobiegła i zastała małą w okropnym stanie, gdyż miała cały brzusek i uda w jednej ranie, bo mała zbliżyła się do otwartych drzwiczek pieca, w którym rozpalony był ogień. W jednej chwili sukienka się zajęła, i nim matka zdołała porwać dziecko, już cała była w bąblach. Zrazem moja siostra nasmarowała ranę olejem lnianym, jo-

doformem i nie pozwoliła niczym przykrywać i wyszła. Nazajutrz idzie do chorej, zastaje oczywiście izbę zapchaną kumoszkami, które rady dają, spojrzęła na leżące dziecko i z przerażeniem widzi, że cała rana jest czarna: „Coście zrobili?” - pyta. „A to nam znachorka poradziła, by posypać starym próchnem z gruszy.” Zrozumiałe było przerażenie mojej siostry, która w tej chwili posłała po doktora i nazajutrz dziewczynkę wywieziono do Lublina do szpitala, gdzie ją wy leczyli szczęśliwie, stosując chirurgiczny zabieg łątania miejsc wyżartych ogniem kawałkami skóry wyciętymi z biodra.

To był rok 1896, wówczas była wojna abisyńska, obijały się o uszy nazwy miejscowości lub bitew, według których mój ojciec nadawał imiona rodzącym się żrebakom. Więc pamiętam, że była klacz Adula i żrebaczek Chartum. Nie interesowałyśmy się polityką, bo na owe czasy pod zaborem rosyjskim Polacy do żadnej polityki się nie mieszały, bo nie wolno im było brać udziału w pracach rządu. Nie tak jak w Galicji, gdzie wielu panów ziemian siedziało „we Wiedniu”, niektórzy piastowali wysokie urzędy, jak Gołuchowski i Badeniowie, a namiestnikiem Galicji był Polak. Z początkiem lata przyjechali na wakacje młodszy bracia, Leon i Kazimierz, dwie młodsze nasze siostry, później Bronio już po ukończeniu wyższych studiów w Berlinie, ale smutno było właściwie, bo nie było duszy w domu. *Belmera* zamykała się w swoich dwóch pokojach i myślała tylko o sobie i Józiu. Pamiętam jak kiedyś Lolo, który był o dwa lata młodszy ode mnie, wówczas w 7 klasie gimnazjum w Kijowie, pełen temperamentu, lubiący muzykę, wykrzyknął śpiewając na środku okrągłego salonu, gdzie była dobra akustyka, „Boże, czemu naszej mamusi nie ma!”.



Bronisław Jan Fudakowski, najstarszy brat Teresy, właściciel Uhra

Latem w sierpniu 1895 roku, kiedy młodsze siostry były wróciły do Pra- gi, ojciec nasz namówił *belmerę*, żeby urządzić bal w Uhrze. Nie pamiętam, jak się zaproszenia roz- syłało, ale zostały mi w pamięci przygotowa- nia i emocje. Z moją sio- strą fabrykowałyśmy or- dery kotyliionowe. Przy- jechały nasze kuzynki, Anula i Kasia Fudakow- skie, i dwie Kraczkiewi- czówny z Ukrainy. Usłużne i życzliwe są- siedztwo, jak zacny Sie- lec, pożyczył parę kom- pletów łózek, a ze Świerż zjechał kucharz, lokaj,



Dzieci Jana i Marii z Pfeifferów Fudakowskich: Wojtek, Elzbieta i Marek

srebro, porcelana i również kilka kompletów łózek. Są- siedztwo całe, poprzednio opisane, stawilo się w kom- plecie. Razem z Woronieckimi przyjechała bardzo ład- na Wanda Popławska, ledwo dorosła (wyszła potem za Bożewskiego). Oczywiście ciocia Marynia z Moroczyna z najstarszą córką Renią, która dotychczas poza Hru- bieszowskie nie wyjeżdżała i widywała tylko tamtejsze ziemiaństwo i dwory, które, choć zamieszkałe przez za- cnych, poważanych ludzi, były dość prymitywne w swych urządzeniach wewnętrznych. Renia wyobra- żała sobie, że Moroczyn był wśród nich wyjątkiem. Jak zobaczyła urządzenie Uhra, sprawność służby, ładnie utrzymany ogród i ładne przyjęcie to ją trochę zatkało, co nas rozbawiło. Nigdy więcej do Uhra nie przyjecha- ła, wolała królować w zapadłym Hrubieszowskiem, gdzie jako bogata panna była zawsze otoczona młodzie- żą. *Belmera* zamknęła się w swoich pokojach i niczym się nie interesowała.

Tu wspomnę o szczególnie charakterystycznym w porów- naniu do dzisiejszych obyczajów. Tańczyliśmy do 6 z rana przy doskonałej muzyce sławnego wówczas Blu- ma. Po rozjechaniu się gości, wszyscy pozostali rozeszli się do sobie wyznaczonych pokoi. W samym domu, w dużym gościnnym pokoju na górze umieszczono kilku młodych mężczyzn epuzerów; dzień był śliczny (sier- pień), myśmy postanowiły pójść się wykąpać w sadzaw- ce o kilkanaście kroków od domu. Stała tam na wodzie duża łazienka drewniana, mieścił się w niej pokoik z wie-

szadłami, ławkami i schodki schodziły do wody, na któ- rej dnie była podłoga. Ubrałyśmy się tylko w szlafroki, mocno zapięte pod szyję i długie do kostek, a w rękę trzy- małyśmy koszulki kąpielowe. Pamiętam uczucie wstydu, że za nami w oknie na piętrze kilka par oczu męskich nam się nie tylko przygląda, ale wołają wesoło: „Dobrej kąpeli paniom życzymy”. A dziś nie tylko szorty i bikini, ale wspólne wylegiwanie się w słońcu, podobno to jest natu- ralniejsze i bez zakłamania, i właściwie już wrażenia nie robi... (nie wierzę w to!). (...)

Mój brat Bronisław wkrótce się zaręczył z Adzią Wo- łowską. Ojciec nasz nie był zadowolony z tego wyboru, ale Bronio dopiął swego. Mój ojciec nie bardzo lubił starego Wołowskiego (z Frankistów), choć był powa- żany i jako człowiek i jako adwokat. Był gorliwym praktykującym katolikiem i córki -zwłaszcza z drugie- go małżeństwa - były starannie wychowane i gruntow- ne katoliczki. Przy tym Wołowski zamożny, miał duży dom w Lublinie na Krakowskim Przedmieściu i *train* domu był bardzo zasobny: kucharz, lokaj, panna słu- żąca dla pańienek. Pan Józef Wołowski był I voto żona- ty z Gerliczówną i miał trzy córki i syna. Najstarsza wyszła za Oborskiego z Małopolski i miała syna głu- choniemego, druga z rządu Zofia została starą panną i poświęciła się pedagogice w przyjaźni z panną Cocy- lią Plater, założyła obok pensji p. Platerówny na ulicy Pięknej szkołę ochraniarek i przedszkole, trzecia Wo- łowską wyszła za Jana Rohlanda, właściciela Tuszowa

pod Lublinem. Po śmierci pierwszej żony pan Józef ożenił się z Marią Buszczyńską z ziemiańskiej wołyńskiej rodziny, z nią miał trzy córki, Marię (Manikę) za Borkowskim z Podola, Annę (Adzie) późniejszą żonę mego brata i Kazię - zakonnice niepokalanek. Syn z pierwszego małżeństwa ożenił się z Marią Wielowieyską, siostrą Jerzego, ożenionego z wdową Horodyńską, z domu Wodzicka, i Józefa, ożenionego z jakąś Francuską.

Ślub mego brata naznaczono w Warszawie na koniec sierpnia 1899 roku. Dzień ślubu jednak został odłożony na tydzień z powodu śmierci jakiejś ciotki panny młodej, co nie było na rękę kilku członkom naszej rodziny, którzy z Ukrainy przyjechali. Ja skorzystałam z tych paru dni i pojechałam do Częstochowy. To było w parę dni po pożarze, który częściowo zniszczył śliczną wieżę kościelną. Kaplica z cudownym obrazem zrobiła na mnie wrażenie miejsca przesiąkniętego jakby siłą wiary i modlitw tych rzesz dusz ludzkich, które tu, od wieków szukają pociechy i ratunku w ludzkich osobistych i narodowych potrzebach. Całość jest imponującą fortecą otaczającą to sanktuarium Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej. Jednak wtedy zaniedbane było całe wzgórze, na którym stoi klasztor, tylko pysznił się przez Rosjan postawiony pomnik Mikołaja I. Później jak Polska „wybuchła” po pierwszej wojnie światowej czym prędzej zburzono pomnik i wiele zmian ulepszących na wzgórzu zaprowadzono. Między innymi ustawiono rzeźbione stacje Męki Pańskiej dłuta Szymanowskiego. Wróciłam do Warszawy na sam ślub Broniów, po czym razem pojechaliśmy do Uhra i Broniowie zamieszkali w folwarku uherskim, tj. w Deputyczach Ruskich, gdzie typowy mały dworek wśród sadu był dla nich przygotowany. Kucharz, lokaj, panna służąca stanowili służbę (...)

Urok Adzi powoli nadawał inny ton domowi i jak nastawały miesiące letnie coraz to do Uhra ktoś *zajeżdżał*. Dlatego nadmieniam o miesiącach letnich, gdyż poza nimi drogi w Chełmskim były ciężką do przebycia topielą, nie z powodu bagnisk, których nie było, ale z powodu gatunku ziemi (borowiny), jaka robiła się lepka przy roztopach i konie z trudem wyciągały koła, a szosy nie było. Ziemia ta, bardzo urodzajna, była kłęską dla inwentarza, zawierała dużo wapnia, bo w Chełmskim podglebie jest czasem czystym wapieniem i bywało, że koniom powyżej pęcín schodziła sierść i skóra pękała boleśnie. Często latem dojeżdżał z Kaniego Aduś Woroniecki, zwykle konno z rakieta, by spędzić z nami popołudnie. Charakter jego był twardy, ocena ludzi ostra.

Kochał się, jak to jest nieuniknione w tak licznym i zgranym gronie. Nieraz robił aluzje do swego sentymentu (obiekt był rzeczywiście śliczny). Aduś był jednocześnie bardzo wymagający co do intelektu, a tu tego brakowało i jednocześnie ten obiekt w inną stronę się zwracał. Aduś zaproponował nam byśmy przeczytały świeżo wydaną francuską książkę pt. *L'homme par Ernest Hello* i żebyśmy ją tłumaczyły na polski. Chętnie się do tego zabrałyśmy, ja, Lutka. Adzia i Tosia Pszanowska i rozebrałyśmy między siebie rozdziały, lecz wkrótce dobra wola utknęła. Tymczasem Aduś wstąpił do seminarium, wkrótce wyjechał do Włoch i wstąpił do nowicjatu dominikańskiego, później stał się znanym ojcem Jackiem Woronieckim.

Tymczasem poczciwy jakiś policjant z Chełma, Polak, przyszedł i w sekrecie uprzedził, że władze postanowiły zamknąć kapliczkę naszą. Czym prędzej zabrałyśmy się z Lutką do jej opróżniania. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przeniosłyśmy do domu do naszych pokoi na górze, ławki zaś do domku „szwajcarskiego”, stojącego w alei lipowej w ogrodzie. Domek ten budowany był za prapradziadków i składał się z dużego pokoju i przedpokoju, stał na wysokim podmurowaniu, w którym kryła się wspiana sucha piwnica na jarzyny, pokój zaś służył jako przechowalnia jabłek zimowych i pachniał jabłkami. Rzeczywiście po kilku dniach zjawili się kilku policjantów z rozkazem i kapliczkę zapieczętowali.

Na wiosnę Lolo zaręczył się z Różą Dolińską, a ja w lipcu pojechałam na kilka dni do Milej owa, gdzie poznałam Karola Rostworowskiego, który był kolegą mego brata Leona z Rygi, z Arkonii i Stanisława Brezy, brata Tolciowej, znanego *jeźdźca*, ale i kobieciarza. Karol był lubiany przez swych kolegów za pogodny humor i uzdolnienia muzyczne, dla których nazywano go kanarkiem. Wyjechałam po paru dniach, wracając do Uhra. Nazajutrz zjawia się w Uhrze tenże Breza, na szczęście nie z jakimiś zamiarami, co do mojej osoby, ale prosząc o konie do Krasnego, do państwa Pszanowskich, gdzie go tentowała bogata jedynaczka. Wrócił jednak z koszem i z Uhra wyjechał do Ołyki na ślub ks. Jadwigi Radziwiłłówny, która wychodziła za Franciszka Potockiego z Peczary. Po paru dniach przyjechała z Krasnego Tosia Pszanowska z propozycją bym z nią i z jej matką jechała do Ostendy, bo one się tam na tydzień wybierają, a jej ojciec już wyjechał do Marienbadu. Bardzo chętnie się na to zgodziłam, tym bardziej, że ten panie za granicą nigdy nie były i prosiły bym była ich

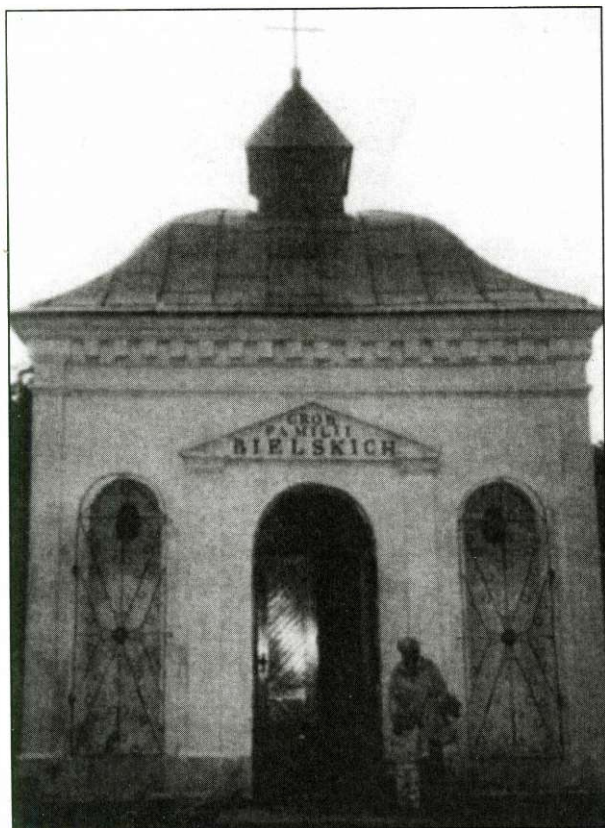
Cicerone. Bronio dał mi do ręki 400 rubli, które na owe czasy były dobrą sumką, bo rubel po funcie angielskim był najmocniejszą walutą.

Ułożyliśmy się, że za tydzień spotkamy się w Warszawie, gdzie ja sobie tymczasem paszport na wyjazd wyrobie. Nazajutrz zjawia się w librze pan Karol Rostworowski i prosi o konie do Krasnego, bo go rodzina namawia, by spróbował szczęścia u panny Pszanowskiej, znanej mu dobrze od szeregu lat, gdyż wakacje spędzał często w Kaniem u krewnych Woronieckich. Tosię Pszanowską znał jako sąsiadkę Kaniego i towarzyszkę zabaw tamtejszej młodzieży. Pojechał - ale po kilku godzinach wrócił z koszem, więc żeby odpoczął po tym niepowodzeniu, Adzia go zaprosiła, by parę dni posiedział w Uhrze, co też chętnie zrobił. Był w Uhrze doskonały fortepian kupiony przez mego ojca dla Lutki, która bardzo dobrze grała, więc pan Karol używał, grając godzinami w dużym salonie. Nadszedł dzień mojego wyjazdu do Warszawy, pan Karol oświadczył, że wraca do Milejowa, więc będziemy razem jechali do Trawnika. Wyjechaliśmy - ale pan Karol w Trawnikach nie wysiadł, mówiąc, że w Lublinie wysiadzie. Stajemy w Lublinie, pan Karol nie wysiada, mówiąc, że złapie w Dęblinie pociąg warszawski, który się z tym pociągiem krzyżuje. Jesteśmy w Dęblinie, pan Karol nie wysiada, bo chce już dojechać do Warszawy. I tak pożegnaliśmy się na dworcu warszawskim.

Zabrałam się do wyrobienia paszportów i biletów okrężnych dla siebie i moich towarzyszek, które już były w Warszawie. Wówczas wyrabianie paszportu na prowincji było kwestią łapówki, a w Warszawie dawało się 25 rubli któremuś z posłańców z czerwoną czapką, którzy zawsze stali przy każdym większym hotelu. Był to koszt samego paszportu i posłańca w 24 godziny paszport przynosił. Nasz ojciec przezornie siebie i nas zapisał jako stałych mieszkańców Warszawy, adres hotel Victoria na Jasnej, więc tą drogą paszport otrzymałam. W ręku już miałam bilety na określoną drogę: Berlin - Drezno - Norimberga przez Marienbad - Frankfurt - Kolonia - Bruksela - Ostenda, powrót przez Berlin - Warszawa. Starczyło więc moim towarzyszkom wyznaczyć spotkanie na dworcu i jazda, w drogę (...)

O 11 w nocy dojeżdżamy do Brukseli i każemy się wieść pod posiadany adres; stajemy przed małą, starą, stylową kamieniczką, jakich wiele otacza plac przed starożytną katedrą. Dzwonimy, długie milczenie, wreszcie słyszymy kroki i migające światło,

zgrzyt klucza w zamku. W otwartych drzwiach staje mała, chuda postać mężczyzny, nieokreślonego wieku *en manches de chemise* (3) ze świecą w ręku. Jesteśmy zdziwione i nieco zaniepokojone. Same siebie pytamy, gdzieśmy trafiły. Jednak jesteśmy zmęczone i nie mamy ochoty tłuc się po nocy w poszukiwaniu innego hotelu, więc prosimy o dwa pokoje. Prowadzi nas po skrzypiących schodach na drugie piętro i podnosząc wysoko świecę, wskazuje dwa łączne pokoje. Godzimy się, zapowiadając, że nazajutrz w południe jedziemy do Ostendy. *Pour le déjeuner vous, n'avez qu'à descendre au premier* - stawia dwa lichtarze za świecami, kładzie zapalki i odchodzi. Zastanawiamy się, śmiejąc się jednocześnie, co to za hotel naznaczony gwiazdką w Bedekerze, czy to nie jest *un repaire* i dla bezpieczeństwa, po zamknięciu drzwi na klucz, zaciągamy przed nie, kuląc się ze śmiechu, w jednym pokoju komodę, w drugim stół, a na nim nasze walizki. Po spokojnej nocy budzi nas słoneczny dzień, więc czym prędzej ubrawszy się, o łazience nie ma mowy, zaledwie kanalizacja, schodzimy na pierwsze piętro, gdzie w czystej salce podają nam typową belgijską kawę lurę. Wyruszamy na miasto, by sobie kupić przepisowe kostiumy, gdyż przepisy się nie zmieniły od mojej poprzedniej bytności w Ostendzie. Po czym wyjechaliśmy pociągiem i w drodze decydują się te panie iść za moją radą i zamieszkać w Mariakerke, w znanym mi poprzednio pensjonacie. Od głównej stacji w Ostendzie jechało się kolejką najwyżej kwadrans. Bardzo się zdziwiłam, nie rozpoznając krajobrazu, gdyż tak zabudowano przez te parę lat przestrzeń dzielącą same miasteczko Ostendę od Mariakerke. Stały ogromny luksusowy hotel i rozmaite wille, tak, że dawne Mariakerke nazwano Ostendę Extension. Pensjonacik się nie zmienił i przywitał nas czysty i wyszorowany. Morze przywitałyśmy jak starego przyjaciela. Przez pierwsze dni używałyśmy kąpeli, widoków i gry światła zachodu, tajemniczości przyływu i odpływu, nie czując potrzeby towarzystwa. Po tygodniu nadjechał pan Pszanowski w doskonałym humorze. Zauważyłam, że chwilami coś żonie szepcze i tajemniczo się do swoich myśli uśmiecha. Nazajutrz decyduje, że pojedziemy tramwajem do Ostendy do kasy na podwieczorek. Miałam ze sobą odpowiednie suknie i kapelusze, (bez których wtedy nie można się było pokazywać), a w Warszawie przed wyjazdem kupiłam sobie bardzo ładny płaszcz podróżny i białą sukienką pelerynę z wykładanym kołnierzykiem



Kaplica grzebalna rodziny Saryusz-Bielskich w Uhrze

z aksamitu koloru koralowego, haftowany złotą nitką - nowość, którą Herse lansował. Jedziemy więc dość ubawione i ciekawe tego kasyna. Był to budynek w formie ogromnej rotundy, oszklone ściany dawały na szeroki półokrągły taras, schodzący na plażę i stąd rozległy widok morza. Nie zdążyliśmy wejść na podwieczorek i stojąc jak trzy jaskółki przy balustradzie patrzyliśmy na morze, gdy stanął przy nas pan Pszanowski, mówiąc: „Tosiu - panie pozwól sobie przedstawić pana Zygmunta Baczyńskiego, przyjechalіśmy razem z Marienbadu.” - Ten pan Baczyński, średniego wzrostu, raczej przystojny szatyn, około 30 lat mający, przejechał wzrokiem po naszych trzech postaciach i widać z miejsca zdecydował, że przy mojej pozostanie. I od tej chwili jak cień śledził moje kroki i zjawiał się nie odstępując. Bawiła mnie ta asysta, bo czyż jest normalna na świecie kobieta młoda, nie brzydka i pełna radości życia, która by nie była wrażliwa na wyraźne oznaki, że się komuś podoba? To jest związane z młodością i kobiecością. Ale zauważyłam, że pan Pszanowski tracił humor, był zasepiony i okazywał mi wyraźnie jakieś rozżalenie - biedaczek! On przywiózł tego majątnego epuzera dla swojej jedynaczki.

Pewnego dnia zaprosił nas pan Baczyński na spacer samochodem, radość wielka, bośmy nawet jeszcze nie widziały samochodu. *Zajeżdża* maszyna na wysokich osiach, koloru wiśniowego, wejście od tyłu, miejsca na 8 osób, fotele wiśniową skórą obite. Szofer powiada: *Nous prendrons une vitesse vertigineuse, car la chaussee est bonne vers Neuwpoort* - ta *vitesse vertigineuse* to było 40 km na godzinę! Był to w sierpniu 1903 roku. Nadszedł dzień naszego wyjazdu, pan Baczyński spowaźniał i szepcze mi przy pożegnaniu: „Czy mogę mieć nadzieję?” - Mówię mu, że odpowiedzi nie daję, ale proszę, by przyjechał do Uhra i przedstawił się memu braterstwu, i godzimy się na datę 18 września. Pan Baczyński dodaje, że z Ostendy pojedzie do Wiesbadenu. My danego dnia wieczorem wsiadamy do pociągu bezpośredniego Ostenda - Warszawa. Zdziwiona widzę jak się zjawia w pociągu pan Baczyński z pudłem cukierków, które mnie wręcza. Pytam - „A pan, dokąd jedzie?” - „Do Wiesbadenu, w Koloni się przesiadam”. - Pan Pszanowski nie ukrywa swej wściekłości, a ja udaję, że nic nie widzę i myślę sobie, że przyjęcie cukierków nie zobowiązuje, a czyż miałam mu je zwrócić? Poprzednio byłam otrzymałam długim list od pana Karola Rostworowskiego, z wyrazami smutku, samotności, marzeń.. Odpisałam, że bardzo radzę zagłębić się w muzykę i nie marnować talentu kompozytorskiego, dla chluby naszej muzyki.

Tak przez Warszawę wróciłam do Uhra. Dowiedziałam się, że przez cały czas mojej nieobecności pan Karol Rostworowski *zarzucał* listami Adzie, moją bratową, z wyrazami tęsknoty, samotności - jedna muzyka była mu pociechą i wciąż widział jasne oczy panny Tereni... że nie wie co z życiem zrobić itd., itd. Tymczasem do Warszawy nadjechał pan Baczyński, był starszym kolegą pana Karola, bo arkończyk, i spotyka się z panem Karolem. Rozpromieniony mówi mu, że na 18 września jedzie do Uhra przedstawić się braterstwu pani Tereni Fudakowskiej - „Ja się tam wybieram, bo znam i panią Terenię i jej braterstwo” - nastąpiła naprężona sytuacja, jak to jeszcze wtedy bywało, sprawa honorowa, pojedynek rozstrzygnie... Ta wieść dochodzi do Uhra. Moi bracia Bronisław i Kazimierz oburzeni „Coś ty narobiła? Dajesz jakieś obietnice, i narażasz młodych ludzi na igranie życiem”. - Ja po prostu przerażona byłam tymi wymówkami i groźbami, a mój brat Kazimierz oznajmił - „Trzeba temu jakiś koniec położyć, jadę do Warszawy i rozmówię się z tymi panami, niech

jeden albo drugi jedzie do Uhra!" - Ja tymczasem rozdygotałam się nerwowo i wtedy Adzia powiedziała mi o listach pana Karola i wprawiła mnie w wewnętrzna rozterkę. Chciałam już wyjść za mąż, by mieć swój dom, swoje dzieci. Baczyński był mi raczej sympatyczny, a do pana Karola odnosiłam się jak do charakteru artysty, którego trzeba zachęcić do pracy, stwarzając mu dom, by jego wrodzony i wyraźny talent kompozytorski znalazł się w warunkach sprzyjających jego rozwojowi; więc z bijącym sercem oczekiwałam tego dnia 18 września.

Tego dnia siadamy do obiadu. Moje miejsce wypadło naprzeciw okna, z którego widok daleki na aleję prastarych topoli włoskich, potem droga idąca prosto na wzgórze. To była jedyna droga wiodąca do Chełma, a więc do stacji kolejowej. Ileż to razy wypatrywało się, czy kto nie jedzie? Tego dnia moje wypatrywanie było zmacone niewiadomą - gdyż mój brat jeszcze nie był wrócił z Warszawy. Nagle zajeżdża dorożka, a w niej Tolcio Rostworowski i pan Karol Rostworowski! Coś we mnie się skuliło w przeżuciu, że teraz będę musiała się decydować i nie pamiętam, czy moja mina była zachęcająca. Tolcia witaliśmy zawsze najserdeczniej, bo łączyły nas lata przyjaźni. Rozmowa ogólna na razie przeszła z konieczności na osobisty temat. Aż tu znów dorożka z Chełma, a więc z innego pociągu. Zjawia się pan Juliusz Stadnicki właściciel Osmolic, bardzo ceremonialny pan, najwyraźniej z jakimiś zamiarami. Trzeba było go jakoś wyeliminować i Lutka zaproponowała mu grę w ping ponga. Długie lata żartowaliśmy na temat tego ping ponga Lutki, a panu Juliuszowi chodziło o rozmowę z Lutką a nie o skakanie za piłeczką. Wyjechał po paru godzinach, wyczuwszy, że nic z tego.

Ja zaś zareczyłam się z panem Karolem.

Już w ciągu letnich miesięcy Bronio kazał porobić okiennice we wszystkich parterowych pokojach, gdyż jakieś niepokoje i napady rabunkowe dały o sobie znać. Pamiętam pewnego wieczoru służący tajemniczo mówi do mego brata „Proszę pana dziedzica, podobno bandyci są u popa, mają tu potem przyjąć”. Pop prawosławny obsadzony był od szeregu lat przy byłej unickiej cerkiewce, która stała na łąkach za ogrodem. Do niej moi dziadkowie i moja mama jako dziewczynka przed powstaniem chodzili na msze święte. Usłyszawszy to ostrzeżenie mój brat skontrolował okiennice i wyjściowe wszelkie drzwi i dał broń każdemu z obecnych panów. Skupiliśmy

się w gabinecie a panowie przy drzwiach, obserwator zaś na piętrze w gościnnym pokoju, który miał okna z widokiem na wejście do oficyny. Czekamy i nasłuchujemy. Zaczyna się ujadanie psów coraz zajadlejsze, z przerwami. „Idą, idą” - ktoś mówi, więc z napięciem czekamy dalszych meldunków. - „Idą przez ogród, bo tam psy ujadają.” - Napięcie trwa z godzinę, jest już jedenasta, noc księżycowa, dziwi nas, że psy przestały ujadać. Po chwili przychodzi chłopak kredensowy i mówi: „Żadnych bandytów nie ma, a psy ujadają do tego kulawego bociana, co to nie odleciał z innymi jesienią, tylko ciągle stoi na łące za sadem.” - Ogólny śmiech przyjął te wiadomości i rozeszliśmy się spać.

W końcu września przyjechał profesor Michał Rostworowski, z Krakowa, by w imieniu swoim i Karola rodziców podziękować oficjalnie. Bardzo nam się podobał. Zareczył nam Wojcio Rostworowski, wówczas jeszcze nie żonaty, w Jaszczowie koło Milejowa. (Majątek ten wkrótce sprzedał, by kupić, żeniąc się z Zyberk-Platerówną z Liksny, śliczne Rybczewieże w teje okolicy). Siostra Karola Leoncia, zamężna za profesorem Kowalskim z Fryburga, bawiła wówczas na lato u siostry Zosi Wessel, w Kęble koło Nałęczowa. Przyjechała z mężem, oczywiście byli Tolciowie i Jaś Rostworowski. Wojcio przyjmował nas gościnnie i serdecznie podwieczorkiem.

Tu muszę jeszcze wspomnieć i wyjaśnić, kim byli unicy. Wiadomo nam z historii, że unia Litwy z Polską miała między innymi zadanie, by zjednywać ludność ziem wschodnich do katolicyzmu i w tym celu wprowadzony był dla niej obrządek wschodni. Po rozbiorach jednak w tych częściach Polski, które dostały się pod panowanie rosyjskie, tj. nad Bugiem, w Chełmszczyźnie, na Podlasiu, stała się ona przedmiotem specjalnego prześladowania i władze rosyjskie przemocą przepisywały unicy na prawosławie i nie wolno było tej ludności, która z dziada pradziada była obrządku wschodniego ale rzymskokatolicka, być chrzczoną i przyjmować wszelkie sakramenta rzymskokatolickiego obrządku. Następowaly kary, z wywożeniem na Syberię włącznie. Ale ludność znosiła bohatersko to prześladowanie. Przez granicę austriacką dostawali się księża, głównie jezuita, poprzebierani, i nocami po lasach miewali msze św. i udzielali sakramentów chrztu, ślubów i spowiedzi. Tak jak za pierwszych chrześcijan tygodniami w ukryciu swoją misję spełniali. Kto z unicy nie mógł się zetknąć z takim za-

konspirowanym księdzem, a nie chciał iść do popa, to wymykał się lasami, piechotą przez granicę do Galicji, by tam wziąć ślub lub równocześnie ochrzcić już urodzone dziecko. Znałam wśród naszej służby takie pary ze ślubem galicyjskim. Nie pamiętam, jak oni załatwiali sprawę metryk i aktów ślubnych. W ogóle, historycznie biorąc, wyznanie biorące początek z unii religijnej nadzwyczaj gorliwie i masowo się rozpowszechniło na ziemiach wschodnich, tj. na Wołyniu, Ukrainie, Podolu. Czytałam o tym w pamiętnikach starego Detiuka, wszędzie były cerkwie unickie, i ludność w tym obrządku bardzo gorliwa. Dopiero po rozbiorach prześladowanie rosyjskie zamieniało cerkwie unickie na prawosławne i powoli unicka ludność w tamtych stronach zanikła, ale utrzymała się bardzo długo, bo jeszcze za moich czasów była liczna na Podlasiu. Tam właśnie ogromne zasługi w ukrywaniu i dopomaganiu ludności ponieśli księstwo Włodzimierzostwo Czetwertyńscy z Milanowa, ona Uruska z domu.

Ślub mój

Chodziło mi o to, by mój ślub był miłym zebraniem rodzinnym. Z mojej rodziny zaproszone było stryjeczno-cioteczne rodzeństwo: Ignasz, Herman, Anula i Kasia. Nie pamiętam, kto był z Kraczkiewiczów, z rodziny Karola byli Wesslowie, tj. Zosia jego siostra z mężem, Leoncia Kowalska, że Szwajcarii przyjechać nie mogła, bo spodziewała się lada dzień dziecka, Tadeusz, starszy brat Karola, (żonaty z Zosią Oskierczanką), Michał, profesor, przybył bez małżonki. Ich stryjeczny Aleksander, stary kawaler, właściciel Stelmachowa w Białostockiem, rodzący się z Potockiej. Antoni (Tolcio), Wojciech i Jaś z Milejowa. Stefan Dmochowski, przyjaciel i kolega Bronią, nasz stały danser, którego wspominałam poprzednio, i moje rodzeństwo. Broniowie, jako gospodarze wydający siostrę za mąż, Leon, Kazimierz, Lutka i Winia. Ponieważ była zima, droga jak zwykle wtedy okropna do stacji, więc rodzice Karola nie mogli przyjechać, tym bardziej, że zaraz 2 lutego obchodzili złote wesele i chodziło im o to, by najmłodszy ich syn mógł już z żoną być na tej rodzinnej uroczystości. Wobec tego, że kaplica była opieczętowana, ślub musiał się odbyć w okrągłej sali. Ustawiono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przez nas przed zamknięciem kaplicy usunięty i przechowywany w domu. Przed nim brali ślub moi rodzice, stryjostwo, odbywały się chrzciny poprzedniej gene-

racji, również i pogrzeby. Więc stał w sali otoczony świeżymi białymi kwiatami, które przywiózł Stefan Wasowski z Warszawy. Ślub naznaczony był na 6 wieczór, skoro nie mógł odbyć się przy mszy świętej. Miałam ładną suknię ślubną z *crepe de Chine*, rozstawianą cienką koronką. Krótko trwała ceremonia; jak zwykle ślub robi głębokie wrażenie na tych, co jasno sobie zdają sprawę, że to nie zabawa, lecz wiązanie się na dobre i złe dole. Staje się przed wielką niewiadomą pod względem charakterów, ich odbicia w codziennym życiu, zgodności lub rozbieżności upodobań, pojmowania obowiązków itd.; wreszcie zawodów i cierpień, nieodłącznych od ludzkiego życia, a cóż dopiero współżycia. Ksiądz proboszcz Hartman z Chełma dawał ślub, po czym była kolacja. Stoły ustawiono w podkowie w dużym hollu, gdyż był większy niż jadalnia. Menu było bardzo dobre i starannie ułożone. *Zacna* pani Orsetti przysłała swego świetnego kucharza i lokaja. Wina szły z piwnicy domowej, doskonale zaopatrzonej przez naszego śp. ojca, który się na tym znał. Lolo, mój brat, miał za zadanie dysponowania winami. Kartki z menu były ozdobione doskonałą fotografią dworu uherskiego, a ładne pismo wykonała Lutka. Przemówienia i życzenia zdrowia rozpoczęła Adzia, składając ładne i serdeczne pożegnanie siostry. Potem zdaje się któryś Rostworowski, jak zwykle alokucje do rodziny Fudakowskich. Wojcio, który taką miał łatwość słowa, widocznie chciał się zwrócić do nas obojga, wstał i zaczął słowami wiersza Rydla, z pieśni Karola, którą wszyscy obecni znali, „Złote listki brzoź dygocą, dygocą, bo je zesłał nocą zważył siwy mróz. Lecą listki brzoź w zawieję okrutną, jak tym liściom smutno, ja najlepiej wiem...” - Wypowiedział jednak tylko pięć pierwszych słów, zaciął się, jakby mu się w gardle skurczyło i usiadł. Wszyscy oczekiwali dalszego ciągu, ale Wojcio już się nie odezwał. Nie mogłam się nigdy od niego dowiedzieć, jakie uczucie czy przecucie mu głos odebrało. Po kolacji muzyka dała znak do tańca, więc młodzież chętnie ruszyła do dużego salonu. Nasz pociąg do Warszawy odchodził o 11, więc krótko tańczyliśmy i przed 10 wyruszyliśmy z domu rodzinnego.

W Warszawie Karol był wynajął 5-pokojowe mieszkanie na końcu Marszałkowskiej. Koniec ten znajdował się na rogu późniejszej ulicy Śniadeckich. Po naszym wyjeździe tańczono długo, a po dwóch dniach Lutka, Winia, kuzynki i bracia pojechali na składkowy bal do Krępcy, gdzie się dobrze bawili.